Gniew apolityczny i teatr polaryzacji w Polsce

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł stanowi głęboką analizę współczesnego polskiego społeczeństwa, uwięzionego w jałowym sporze między dwiema dominującymi siłami politycznymi. Wykorzystując postać Adasia Miauczyńskiego jako symbol apolitycznej furii, autor demaskuje mechanizmy 'teatru polaryzacji'. Tekst opisuje, jak koncepcje 'oblężonej prawicy' i 'uśmiechniętej Polski' służą mobilizacji elektoratów bez oferowania realnych zmian programowych. Analiza dotyka również problemu neoliberalizmu i teorii końca historii, które doprowadziły do depolityzacji problemów społecznych i poczucia braku sprawczości u obywateli. To wezwanie do wyjścia poza narzucony duopol i zrozumienia źródeł własnego gniewu, który zamiast budować alternatywę, spala się w prywatnych frustracjach.

This article offers a profound analysis of contemporary Polish society, trapped in a futile dispute between two dominant political forces. Using Adaś Miauczyński as a symbol of apolitical fury, the author exposes the mechanisms of the "theater of polarization." The text describes how the concepts of the "besieged right" and "smiling Poland" serve to mobilize voters without offering any real programmatic change. The analysis also addresses neoliberalism and the end-of-history theory, which have led to the depoliticization of social problems and a sense of disempowerment among citizens. It is a call to transcend the imposed duopoly and understand the sources of one's own anger, which, instead of building an alternative, boils over in private frustrations.

Gniew Adasia Miauczyńskiego nie burzy barykad; co najwyżej spokój sąsiadów za ścianą. Marek Koterski, portretując go w „Dniu świra”, stworzył bowiem ikonę miejskiego inteligenta, uwięzionego między ciasną kawalerką, niską pensją a dojmującym poczuciem życiowej porażki. Miauczyński, nauczyciel języka polskiego, człowiek obeznany z wielką literaturą i ideami, pozostaje kompletnie bezradny wobec polityczności świata, w którym przyszło mu żyć. Jego

wiedza nie przekłada się na żadną sprawczość. Jego wybuchy to wulgarne, gwałtowne rytuały samotności, zamknięte w czterech ścianach. Nie mają adresata, nie budują wspólnoty, nie inicjują żadnego działania. Są dokładnym zaprzeczeniem gniewu politycznego w rozumieniu proponowanym przez Markiewkę – gniewu, który nawet jeśli rodzi się z jednostkowego doświadczenia, instynktownie szuka instytucji, języka i ruchu, by przekształcić się w siłę zbiorową. Furia Miauczyńskiego to gniew apolityczny w stanie czystym: implozja, nie rewolucja. Dla Adasia Miauczyńskiego polityka to sfera jałowych frazesów i samonapędzającego się spektaklu władzy. Jego diagnoza, że „wszyscy są do niczego", jest tyleż brutalna, co paraliżująca. Rozkłada bowiem odpowiedzialność tak szeroko, że wytrąca gniewowi broń z ręki. To wariant postawy „wszyscy kradną", która w Polsce stała się wygodnym alibi dla zbiorowej bierności.

SŁOWA KLUCZOWE

gniew apolityczny | teatr polaryzacji | Adaś Miauczyński | oblężona prawica | uśmiechnięta Polska | ciemnogród | forteczny populizm | koniec historii | polityka tożsamościowa | duopol polityczny | partiokracja | brak sprawczości | neoliberalizm | mit męczeństwa | brak alternatywy

Adaś Miauczyński: symbol bezsilnej wściekłości

Gniew Adasia Miauczyńskiego nie burzy barykad; co najwyżej spokój sąsiadów za ścianą. Marek Koterski, portretując go w „Dniu świra", stworzył bowiem ikonę miejskiego inteligenta, uwięzionego między ciasną kawalerką, niską pensją a dojmującym poczuciem życiowej porażki. Miauczyński, nauczyciel języka polskiego, człowiek obeznany z wielką literaturą i ideami, pozostaje kompletnie bezradny wobec polityczności świata, w którym przyszło mu żyć. Jego wiedza nie przekłada się na żadną sprawczość.

Jego wybuchy to wulgarne, gwałtowne rytuały samotności, zamknięte w czterech ścianach. Nie mają adresata, nie budują wspólnoty, nie inicjują żadnego działania. Są dokładnym zaprzeczeniem gniewu politycznego w rozumieniu proponowanym przez Markiewkę – gniewu, który nawet jeśli rodzi się z jednostkowego doświadczenia, instynktownie szuka instytucji, języka i ruchu, by przekształcić się w siłę zbiorową. Furia Miauczyńskiego to gniew apolityczny w stanie czystym: implozja, nie rewolucja.

Polityka jako spektakl: jałowe widowisko dla mas

Dla Adasia Miauczyńskiego polityka to sfera jałowych frazesów i samonapędzającego się spektaklu władzy. Jego diagnoza, że „wszyscy są do niczego”, jest tyleż brutalna, co paraliżująca. Rozkłada bowiem odpowiedzialność tak szeroko, że wytrąca gniewowi broń z ręki. To wariant postawy „wszyscy kradną”, która w Polsce stała się wygodnym alibi dla zbiorowej bierności. Polityka zostaje sprowadzona do farsy, w której role obsadzono z góry, a publiczność może co najwyżej buczeć pod nosem, nie ruszając się z fotela.

Ten sceptycyzm nie jest jednak prywatną neurozą bohatera Koterskiego; ma w Polsce długą i ponurą tradycję niskiej partycypacji i alergii na identyfikację partyjną. Statystyki są tu bezlitosne: do partii politycznych należy niespełna jeden procent uprawnionych, a frekwencja wyborcza przez dekady należała do najniższych w Europie. Słowo „polityka” w potocznym języku obrosło brudem, stało się synonimem afery, a nie troski o dobro wspólne. Nawet ruchy obywatelskie często zastrzegają, że „nie są polityczne”, jakby samo to słowo było skazą.

Socjolog David Ost zauważa, że w późnym kapitalizmie źródła problemów stają się niemal niemożliwe do zidentyfikowania. Gdy fabrykę zamyka bezosobowy, globalny koncern, a decyzja zapada tysiące kilometrów dalej, w szklanym biurowcu, gniew pracowników traci swój adres. Władza rozpływa się w sieci powiązań – jest „wszędzie i nigdzie”: w radach nadzorczych, w algorytmach banków centralnych, w paragrafach pisanych pod dyktando lobbystów. W takim świecie, by gniew stał się polityczny, musi pojawić się ktoś, kto wskaże kierunek i nazwie przeciwnika. Inaczej powstaje syndrom Miauczyńskiego: efektowny, lecz jałowy wybuch, który gaśnie niczym magnezja na dłoniach gimnastyka.

Ideologiczne paliwo dla tej postawy dostarczył, być może nieświadomie, Francis Fukuyama. Ogłaszając po 1989 roku „koniec historii”, stworzył grunt pod przekonanie, że wielkie spory zostały ostatecznie rozstrzygnięte. Wygrały liberalna demokracja i kapitalizm, a reszta to już tylko kwestia technicznego zarządzania. Polska transformacja ustrojowa odbywała się dokładnie w tej atmosferze – zachodnie wzorce gospodarcze przyjmowano jako dogmat, a od obywateli oczekiwano raczej cichej adaptacji niż głośnego sporu ideowego. Taki klimat sprzyjał postawie apolitycznej, bo skoro „nie ma alternatywy”, polityka traci sens. A gniew staje się prywatną, wstydliwą dolegliwością jednostki.

Syndrom oblężonej twierdzy buduje tożsamość prawicy

Współczesna polska prawica, ta, którą Tomasz S. Markiewka trafnie nazywa „oblężoną”, nie jest zwykłym ruchem politycznym. To raczej emocjonalna maszyna, która produkuje gniew na masową skalę i sprzedaje go jako towar pierwszej potrzeby. W jej narracji Polska jawi się jako forteca otoczona przez wrogów, ostatnia

reduta prawdziwych wartości w świecie pogrążającym się w chaosie „marksizmu kulturowego”, „tęczowej zarazy” i wegańskich terrorystów uzbrojonych w rowery.

Polityka oblężonej prawicy jest podręcznikowym przykładem polityki tożsamościowej, chociaż jej zwolennicy gardłują przeciwko liberalnej „polityce tożsamości”. Tyle że zamiast walki o równość mniejszości, mamy tu do czynienia z obsesyjnym fortyfikowaniem tożsamości narodowo-katolickiej. W tym ujęciu Polak nie jest jednostką o różnorodnych przynależnościach, lecz żołnierzem urodzonym na granicy cywilizacji, którego obowiązkiem jest obrona wspólnoty przed zewnętrzną i wewnętrzną degeneracją. W praktyce sprowadza się to do codziennego karmienia wyborców porcją „zagrożeń”, które utwierdzają ich w przekonaniu, że ich tożsamość jest nieustannie atakowana. W Hollywood czarnoskóra aktorka gra dawną księżniczkę? Zamach na polską kulturę. W Brukseli dyskutują o prawach osób LGBT+? Atak na polskie dzieci. W miastach budują ścieżki rowerowe? Zdrada polskiego stylu życia.

Rdzeń tej narracji stanowi mit narodowego męczeństwa. Skoro Polacy cierpieli bardziej niż ktokolwiek inny, należy im się nie tylko szacunek i reparacje, ale przede wszystkim prawo do wiecznego moralnego wywyższenia. Każda krytyka staje się bluźnierstwem, a każda próba rozliczenia z przeszłością – zdradą. Przekonanie to ma status aksjomatu, do którego w badaniach przyznaje się trzech na czterech obywateli. W rękach zręcznych inżynierów politycznych ten mit staje się paliwem o najwyższej liczbie oktanowej, zdolnym napędzić każdą kampanię.

Mechanika tego fortecznego populizmu jest prosta i bezwzględna. Najpierw trzeba zbudować ostry podział: my (prawdziwi, czyści, dzielni) kontra oni (zepsuci, zdradzieccy, zinfiltrowani). Następnie każdą różnicę zdań należy przedstawić jako dowód wrogiej infiltracji. Na koniec wystarczy obiecać obronę w zamian za bezwarunkową lojalność. To model, który z powodzeniem działa w różnych szerokościach geograficznych. Donald Trump sprzedawał „Make America Great Again” jako obietnicę zamknięcia granic, a Giorgia Meloni we Włoszech podbija emocje hasłami o „obronie tożsamości europejskiej przed inwazją”. W Polsce hasła bywają mniej eleganckie, lecz równie skuteczne: „czerwona zaraza” i „tęczowa zaraza” pełnią tę samą funkcję co „gangi imigrantów” w kampanii brytyjskich torysów.

Nic nie uzależnia tak jak poczucie walki o przetrwanie. Oblężona prawica nie może sobie pozwolić na nudę, toteż musi dostarczać codzienne dawki adrenaliny: „brygady politycznej poprawności” atakują, Bruksela żąda kapitulacji, a Soros knuje. To nie jest język polityki, lecz stanu wyjątkowego, i właśnie w nim tkwi sekret mobilizacji. Obywatel, który żyje w stanie permanentnej wojny, nie pyta o jakość rządzenia. Pyta, gdzie jest wróg.

Prawo i Sprawiedliwość doprowadziło tę grę do perfekcji, łącząc retorykę fortecy z realnym transferem środków w postaci programów socjalnych. „Rodzina 500+” czy „trzynastka dla emerytów” w oficjalnym przekazie nie są jedynie polityką redystrybucji, lecz stają się „nagrodą dla lojalnych obrońców kraju”. W ten

sposób zamyka się pełen krwiobieg populistycznego państwa: tożsamość wzmacnia lojalność, lojalność umacnia władzę, a władza z powrotem wzmacnia tożsamość.

Problem w tym, że gniew nie potrafi niczego zbudować poza coraz wyższymi murami. To energia spalana na bieżąco w kampaniach wyborczych i telewizyjnych tyradach, która nigdy nie zostaje przekuta w strukturalne rozwiązania. W rezultacie społeczeństwo staje się nie tyle oblężoną twierdzą, ile więzieniem, które samo sobie zbudowało. Oblężona prawica żywi się poczuciem krzywdy, które mogłoby stać się impulsem do twórczej przebudowy wspólnoty. Zamiast tego przekształca je w polityczny dopalacz, który działa tylko wtedy, gdy podsyca się płomień. Bez wroga traci sens istnienia, więc wroga trzeba tworzyć – codziennie, wszędzie, z każdego drobiazgu.

I tu tkwi jej największy paradoks. W imię obrony polskiej tożsamości utrwala obraz Polski jako kraju, który nie potrafi wyobrazić sobie siebie inaczej niż w stanie permanentnego oblężenia. Jak w każdej dobrej opowieści grozy, potwór żyje tylko wtedy, gdy się go karmi. A my karmimy go ochoczo, sycąc obcego własnym strachem i gniewem, z którego ktoś już dawno zrobił całkiem dochodowy interes.

Uśmiechnięta Polska: pogarda jako narzędzie wykluczenia

„Uśmiechnięta Polska” to termin, który miał brzmieć jak slogan z folderu turystycznego: kraj bez trosk, zaludniony przez pogodnych obywateli, przechadzających się po czystych chodnikach i prowadzących kulturalne dyskusje. W rzeczywistości kryje w sobie sprzeczność godną najlepszej satyry. W praktyce bowiem uśmiech, tak ochoczo prezentowany na billboardach, błyskawicznie zamienia się w grymas, gdy tylko na horyzoncie pojawi się „ciemnogród”. To pojęcie klucz w słowniku tej części klasy średniej, która głęboko wierzy w swoją modernizacyjną misję wobec reszty narodu.

W oficjalnej narracji „uśmiechnięci” to apostołowie europejskości, nowoczesnych standardów i „normalności” definiowanej przez wielkomiejskie wzorce. Jednak w wersji zakulisowej ich życie emocjonalne bywa podszyte głęboką irytacją, a nierzadko pogardą wobec tych, którzy do tej wizji po prostu nie pasują. Zwłaszcza jeśli ci „niepasujący” mają czelność głosować na PiS, spędzać wakacje nad Bałtykiem, słuchać disco polo i traktować lokalny kościół jako centrum życia wspólnotowego.

„Ciemnogród” nie jest bowiem realną krainą geograficzną. To raczej moralno-estetyczny konstrukt, mentalny kontener, do którego wrzucono wszystkie cechy uznane za przeciwieństwo postępu: niski kapitał kulturowy, konserwatyzm obyczajowy, religijność czy preferencje muzyczne niezatwierdzone przez opiniotwórcze salony. Taki konstrukt spełnia kilka kluczowych funkcji. Jest wygodnym wrogiem, niewyczerpanym źródłem poczucia moralnej i intelektualnej wyższości, a także skutecznym narzędziem mobilizacji wyborczej.

Znacznie łatwiej jest przecież zjednoczyć elektorat wokół pogardy dla wspólnego „wroga wewnętrznego” niż wokół abstrakcyjnych i często nudnych programów gospodarczych.

Oficjalne przesłanie brzmi szlachetnie: więcej dialogu, mniej konfliktu, Polska wspólnotowa i uśmiechnięta. W praktyce jednak często uruchamia się mechanizm odwróconej polaryzacji. Uśmiech i serdeczność stają się walutą wymienialną tylko we własnym gronie, zarezerwowaną dla tych, którzy odwzajemniają światopoglądowy kod. Wobec reszty dopuszczalny jest język ostrych epitetów, od „chamów” i „żuli”, przez grafiki porównujące wyborców PiS do tresowanych zwierząt, aż po memy z portali w rodzaju Soku z Buraka. Wszystko to staje się akceptowalnym narzędziem walki politycznej, o ile tylko cel jest postrzegany jako „słuszny”.

Problem w tym, że ten gniew, choć maskowany uśmiechem, ma charakter destruktywny nie dlatego, że jest silny, lecz dlatego, że jest ślepy. Koncentruje się na symptomach – wynikach wyborczych, gustach kulturowych, poczuciu estetyki – zamiast na źródłach problemu, czyli chronicznych nierównościach społecznych, systemie edukacji reprodukującym podziały czy braku stabilności ekonomicznej w mniejszych ośrodkach. Co więcej, każda próba rozmowy o rozwiązaniach systemowych, jak redystrybucja czy inwestycje w peryferie, bywa natychmiast torpedowana oskarżeniami o „socjalizm”, „marksizm” czy nawet „stalinizm”. To retoryczny mechanizm obronny, odcinający od lewicowych wątków obecnych w zachodniej demokracji, które mogłyby realnie zmniejszyć społeczne napięcia.

Paradoks „uśmiechniętego gniewu” polega na tym, że staje się on lustrzanym odbiciem strategii stosowanej przez „oblężoną prawicę”. Opiera się na tym samym emocjonalnym podziale „my kontra oni”, jest pielęgnowany w zamkniętych bańkach informacyjnych, a jego celem nie jest rozwiązanie konfliktu, lecz utrzymanie go w stanie politycznej użyteczności. W efekcie powstaje sytuacja, w której obie strony polaryzacji karmią się nawzajem, a każda potrzebuje drugiej, by uzasadnić własne istnienie. Polska naprawdę uśmiechnięta pozostaje więc jedynie marketingowym mirażem.

Teatr gniewu: rytualny spór duopolu PiS-PO

Polska scena polityczna od lat wystawia ten sam spektakl – „teatr gniewu”. W rolach głównych, niezmiennie od dekad, występują Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska, odgrywając żenującą scenę ideowej wojny. Zmieniają rekwizyty, czasem dekoracje, ale nigdy scenariusz. W istocie bowiem pozostają bliźniaczo podobne w kluczowych punktach: oba ugrupowania są konserwatywne, centroprawicowe i głęboko osadzone w porządku, który uprzywilejowuje wolny rynek, niski poziom redystrybucji i nienaruszalną pozycję Kościoła katolickiego. Wzajemne oskarżenia o „lewactwo” czy „zaścianek” to teatrzyk dla naiwnych, nierealna alternatywa. W Polsce lewica istnieje głównie w wyobraźni prawicy, a progresywne reformy są dla obu obozów równie odległe jak myśl, by polityk odpowiadał za własne błędy.

Dlaczego ten spór jest tak jałowy? Po pierwsze dlatego, że wywodzi się z jednego pnia. Kadry polityczne swobodnie migrują między PiS i PO, a horyzont ich programów wyznacza ten sam zestaw aksjomatów. Po drugie, pole debaty zostało dramatycznie zawężone. Nie ma w nim miejsca na realne rozmowy o państwie świeckim, równości małżeńskiej, publicznej służbie zdrowia na europejskim poziomie czy sprawiedliwości podatkowej. Zamiast tego mamy pełne pasji przerzucanie się zarzutami o to, kto trzymał krzyż przed Pałacem Prezydenckim. Po trzecie, ich retoryka jest zapożyczona z lat 80. i 90. XX wieku, głównie od amerykańskiej prawicy. PO zaciągnęła się na służbę neoliberalnemu kultowi rynku, PiS zaś skłoniło się ku wojnie z „poprawnością polityczną". W tym teatrze gniew nie służy zmianie. Gniew jest biletem wstępu na widownię, która ma się oburzać i klaskać, ale nigdy nie wejść na scenę.

Naturalne jest oburzenie na taką grupę polityków, których kariery często rosną odwrotnie proporcjonalnie do kompetencji. W systemie partiokracji, czyli władzy partii zrośniętych z państwem, miernota staje się walutą. Im mniej ma się własnego zdania i realnych umiejętności, tym mniejszym jest się zagrożeniem dla lidera. Lojalność wobec linii partyjnej jest ważniejsza od lojalności wobec obywatela, a największą zbrodnią staje się samodzielne myślenie. Tu nie ma sporu o wizję państwa; istnieje tylko rywalizacja o to, kto będzie dzielił łupy. To bijatyka w piaskownicy, w której stawką nie jest dobro kraju, lecz miejsce bliżej ucha partyjnego aparatu.

Co zatem zrobić, by gniew stał się siłą twórczą? Po pierwsze, należy przestać traktować go jako patologię polityki. W demokracji gniew jest sygnałem alarmowym – ignorowany, wybucha w sposób niszczący, co pokazały brexit czy wybór Donalda Trumpa. Po drugie, należy kierować go ku źródłom problemów, a nie ku wygodnym „wrogom zastępczym". PiS i PO nauczyły się wykorzystywać gniew do mobilizacji elektoratu, ale nigdy do realnej naprawy systemu. Potrzebny jest nowy język polityki, wolny od anachronicznych straszaków w rodzaju „komunizmu" czy „socjalizmu", a skupiony na pojęciach kluczowych dla współczesności: „dobru wspólnym", „solidarności" (pisanej małą literą), „emancypacji", „pracownikach", „klimacie" i „równości". Bez nowego słownika nie będzie nowego myślenia.

Wreszcie polityka musi włączyć do gry tych,

Coaching i neoliberalizm: prywatyzacja stresu

W logice neoliberalnej etyki odpowiedzialności porażka w pracy czy finansowa niestabilność stają się dowodem osobistych deficytów: złej organizacji, braku motywacji, a może po prostu „negatywnego myślenia". Jest to mechanizm prowadzący do zjawiska znanego jako „odpolitycznienie stresu". Zamiast więc organizować strajk, zapisujemy się na kurs mindfulness; zamiast domagać się reformy prawa pracy, kupujemy poradnik o zarządzaniu sobą w czasie.

W takiej kulturze gniew traci swój potencjał jako impuls do systemowej zmiany, stając się jedynie sygnałem, że to my sami wymagamy naprawy. Gdyby Adaś Miauczyński dał się zaciągnąć na sesję coachingową, zapewne usłyszałby mantrę: „Skup się na tym, co jest w twojej strefie wpływu". A to w gruncie rzeczy oznacza jedno: przestań wreszcie myśleć politycznie.

Piętno roszczeniowości niszczy solidarność społeczną

Obraz byłby niepełny bez ostatniego pociągnięcia pędzlem: stygmatyzacji protestu. Ci, którzy ośmielają się głośno domagać lepszych warunków życia czy pracy, zbyt często słyszą, że są „roszczeniowcami", leniami i życiowymi nieudacznikami. Te etykiety działają jak kwas, rozpuszczając społeczną solidarność i skutecznie przekierowując debatę z wad systemu na rzekome wady charakteru jednostek. To właśnie ten mechanizm miał na myśli Andrzej Szahaj, pisząc, że po transformacji wielu ludziom „zabrano nie tylko pracę, ale i honor". Upokorzenie stało się doświadczeniem pokoleniowym.

Konsekwencją jest gniew apolityczny, energia uwięziona w zamkniętym obiegu. Pali się oślepiającym, gorącym płomieniem, lecz nie jest w stanie napędzić żadnej społecznej maszyny. Nie tworzy ruchów, nie formułuje programów, nie wyprowadza ludzi na ulice. W świecie Adasia Miauczyńskiego cały ten bunt kończy się w kuchni, nad stygnącą herbatą, a jego puentą jest rzucone w pustkę „ja pierdolę". To gniew bez dziedziców i bez strategii, dlatego, choć u swych źródeł autentyczny, pozostaje społecznie jałowy.

Upolitycznienie gniewu: fundament konstruktywnej zmiany

Polska polityka od lat przypomina kiepski serial, w którym główni aktorzy – PiS i PO – odgrywają wciąż tę samą, żenującą scenę. Zmieniają rekwizyty, czasem odświeżają dekoracje, ale scenariusz pozostaje nietknięty. Publicznie toczą wojnę o przyszłość Polski, lecz za kulisami toczy się tylko bijatyka w piaskownicy, w której stawką jest nie tyle dobro kraju, ile miejsce bliżej ucha partyjnego aparatu. W tym systemie nie liczą się bowiem ani kompetencje, ani wartości. Liczy się wyłącznie dostęp do słuchawki, przez którą dzwonią „swoi", by rozdawać stanowiska i wpływy.

Nie ma tu żadnego sporu o wizję państwa, jest tylko brutalna rywalizacja o to, kto będzie dzielił łupy. Dlatego obie partie, choć w mediach szarpią się jak wrogowie, w gruncie rzeczy są dwoma oddziałami tej samej armii. Równie konserwatywne, równie centroprawicowe, tak samo przywiązane do modelu, w którym państwo służy głównie do utrzymywania status quo. Wzajemne oskarżenia o „lewactwo" czy „zaścianek" to teatrzyk dla naiwnych, bo w Polsce lewica istnieje głównie w rozgorączkowanej wyobraźni prawicy, a

progresywne reformy są dla obu obozów równie odległe jak myśl, by polityk kiedykolwiek odpowiedział za własne błędy.

W tym spektaklu nie ma miejsca na poważną debatę o świeckim państwie, prawach mniejszości czy prawdziwie europejskich usługach publicznych. Jest za to pełne pasji przerzucanie się zarzutami o to, kto trzymał krzyż, a kto go zdjął ze ściany. W tym teatrze gniew nie służy zmianie, lecz jest biletem wstępu na widownię. Publiczność ma się oburzać, tupać i klaskać, ale pod żadnym pozorem nie może wejść na scenę i przerwać przedstawienia. Naturalne jest więc wściekanie się na takie stadko nieudolnych polityków, których kariery rosną odwrotnie proporcjonalnie do kompetencji. W partiokracji miernota jest walutą, bo im mniej masz własnego zdania, tym mniejszym jesteś zagrożeniem dla wodza.

Po pierwsze, trzeba przestać traktować gniew jako chorobę polityki. W demokracji jest on sygnałem alarmowym – ignorowany, wybucha w sposób niszczący, jak w przypadku brexitu czy wyboru Trumpa. Po drugie, należy kierować go ku źródłom problemów, a nie ku wygodnym „wrogom zastępczym", których podsuwają nam partyjni stratedzy. PiS i PO nauczyły się perfekcyjnie wykorzystywać gniew do mobilizacji elektoratu, ale nigdy do realnej naprawy systemu, który ten gniew generuje. Problem w tym, że w Polsce ci, którzy trzymają ster, wolą zagłuszać dzwon alarmowy muzyką orkiestry z Titanica.

Jeśli naprawdę chcemy wyrwać się z tego jałowego cyklu, potrzebny jest nowy język polityki, wolny od zakurzonych straszaków w rodzaju „komunizmu" czy „socjalizmu". Musimy skupić się na słowach kluczach współczesności, takich jak „dobro wspólne", „solidarność" (pisana małą literą), „emancypacja", „pracownicy", „klimat" i „równość". Bez nowego słownika nie będzie nowego myślenia. Wreszcie, polityka powinna włączyć do gry tych, którzy dotąd byli poza sceną: grupy zmarginalizowane, ludzi bez partyjnego zaplecza i ruchy oddolne. To oni mogą nadać gniewowi kierunek, w którym będzie on budował, a nie niszczył.

„Ucieczka z teatru gniewu" nie oznacza bowiem ucieczki od gniewu w ogóle. Oznacza wyrwanie go z rąk aktorów odgrywających w kółko ten sam konflikt i oddanie go w ręce obywateli, którzy potrafią uczynić z niego narzędzie zmiany. Polska polityka nie potrzebuje kolejnej wersji PiS ani PO. Potrzebuje nowej sceny – płaszczyzny, na której gniew nie jest rekwizytem w farsie, lecz energią do przebudowy fundamentów państwa. Sceny, na której nikt nie musi grać głupca, by przetrwać.

> Oznacza wyrwanie go z rąk aktorów odgrywających w kółko ten sam konflikt i oddanie go w ręce obywateli, którzy potrafią uczynić z niego narzędzie zmiany. Polska polityka nie potrzebuje kolejnej wersji PiS ani PO. Potrzebuje nowej sceny – płaszczyzny, na której gniew nie jest rekwizytem w farsie, lecz energią do przebudowy fundamentów państwa. Sceny, na której nikt nie musi grać głupca, by przetrwać.

Inspiracje

[1] **"Gniew"** Tomasz S. Markiewka

Polski filozof, publicysta i tłumacz. Wykładowca Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zajmuje się współczesną kulturą i polityką, z krytyczną analizą kapitalizmu. Autor książek takich jak „Język neoliberalizmu" (2017) i „Gniew" (2020).

Polish philosopher, publicist, and translator. Lecturer at Nicolaus Copernicus University in Toruń. His work focuses on contemporary culture and politics, with a critical analysis of capitalism. Author of books such as 'Język neoliberalizmu' (2017) and 'Gniew' (2020).

Nicolaus Copernicus University in Toruń

Literatura uzupełniająca

Książki

Autorzy przywoływani w artykule:



[1] **"Język neoliberalizmu. Filozofia, polityka i media"**

Tomasz S. Markiewka

2017 | Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika | ISBN: 9788323139133

[2] **"Zmienić świat raz jeszcze. Jak wygrać walkę o klimat"**

Tomasz S. Markiewka

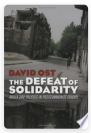
2021 | Czarna Owca | ISBN: 9788381435574

[3] **"Nic się nie działo. Historia życia mojej babki"**

Tomasz S. Markiewka

2022 | Wydawnictwo Czarne | ISBN: 9788381915199

Literatura pokrewna (Google Scholar):



[4] **"The Defeat of Solidarity: Anger and Politics in Postcommunist Europe"**

David Ost

2018 | Cornell University Press | ISBN: 9781501729270

Google Scholar

[5] **"Solidarity and the Politics of Anti-Politics: Opposition and Reform in Poland since 1968"**

David Ost

1990 | Temple University Press

Google Scholar



[6] **"American Rage: How Anger Shapes Our Politics"**

Steven W. Webster

2020 | Cambridge University Press | ISBN: 9781108870344

Google Scholar

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] **"Down With 1989! The Peculiar Right-Wing Backlash Against 1968 in Poland"**

David Ost

2019 | East European Politics and Societies

Google Scholar

[2] **"Non-political anger shifts political preferences towards stronger leaders"**

David Mair, Laura Smillie, Giovanni La Placa, René Van Bavel

2022

Google Scholar

[3] **"Why (Which) Workers Often Oppose (Which) Democracy?"**

David Ost

2022

Google Scholar

APA ONE Publishing System

Fundacja Dobre Państwo © 2026

Article ID: 4168730e-93c9-4575-b5ef-b0741f1771a0